

Miłośnicy zabytków w Wielisławce

W dniach 26-28 lutego 2016 r. miało miejsce kolejne spotkanie członków Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków. Tym razem na bazę wybrano zupełnie nowe miejsce. Jest nim stary młyn położony u podnóża Wielisławki, nieopodal niesamowitego miejsca znanego jako Organy Wielisławskie. To właśnie tutaj oficer wrocławskiej policji Herbert Klose, który po II wojnie światowej zamieszkał w Sędziszowej, miał pilnować ukrytego przez Niemców skarbu. A chodziło o nie byle jaki skarb. Miały to być skrzynie ze złotem wywiezionym pod koniec wojny z Wrocławia. Tak, chodziło o złoto z banków wrocławskich! Było to ponoć 7 ton złotych sztab, ale nie tylko. Nic dziwnego, że taka wiadomość rozpałała i wciąż rozpala wyobraźnię niejednego poszukiwacza. Faktem jest jednak, że przynajmniej oficjalnie nigdy nie odnaleziono owych skrzyń. Pewnie właśnie dlatego wciąż przybywa tu wielu poszukiwaczy mających nadzieję, że to właśnie oni znajdą ukryty skarb. Ciekawe tylko czy podzielą się wiadomością o jego znalezieniu.

Trzeba jednak wiedzieć, że w opisywanym rejonie złoto było, jest i pewnie jeszcze długo będzie. Chodzi oczywiście o złoto pozyskiwane z eksploatowanych niewielkich złóż. Pierwsze zapiski dotyczące poszukiwań oraz wydobywania złota i srebra pochodzą już z XV wieku. W wiekach XVI i XVII prace wydobywcze szły pełną parą. Mimo, iż złoża te nie były zbyt duże to fakt dosyć dużej zawartości zarówno srebra jak i złota w pozyskiwanym materiale był wystarczający by prace były kontynuowane.



Foto: Krzysztof Tęcza

Podczas naszej wizyty w młynie również postanowiliśmy dotrzeć do starych sztolni. Oczywiście nie mieliśmy żadnych nadziei na znalezienie czegokolwiek, jednak sam fakt dotarcia do podziemnych tuneli był wystarczającą zachętą do porannej wycieczki. Po dotarciu do sztolni okazało się jak niewielki jest otwór wejściowy. Trzeba było bardzo poważnie zastanowić się czy warto próbować przeciskać się przez niego. Część z grupy nie namyślając się dała nura w głąb jamy i tylko patrzyliśmy jak jeden za drugim znikają z naszych oczu. Słychać było ich nawoływania z wnętrza góry. Po chwili i one ucichły. Zastanawialiśmy się jak dadzą oni sobie radę z obróceniem się tak by wrócić. Niebawem wszystkiego mieliśmy się dowiedzieć. Gdy ze sztolni zaczęli wychodzić, a właściwie wypelzać, jeden za drugim, pomogliśmy im odbierając sprzęt fotograficzny. Faktycznie widać było, iż musieli przedzierać się wąskimi korytarzami, ich ubrania były umazane brązowym błotem. Pewnie już ich nie dopiorą.



Foto: Krzysztof Tęcza

Słuchamy relacji, wiemy bowiem, że takich chodników jest tutaj kilka, i że wszystkie one prowadzą do wielkiej komory. I faktycznie przeszli oni chodnikami, które raz pozwalały na swobodny spacer, innym razem zmuszały do schylania się a nawet pełzania na czworaka. Najważniejsze jednak to zadowolenie z podjętego ryzyka i szczęśliwy powrót na powierzchnię. Poczuliśmy pierwsze prawdziwe emocje. Nie wiem czy nie przebiły one nawet wizyty pod Organami Wielisławskimi.

Ponieważ celem naszego spotkania nie było tylko włożenie do każdej napotkanej w lesie dziury udaliśmy się na zwiedzanie okolicy, wszak Góry Kaczawskie to rejon bardzo bogaty jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju obiekty zabytkowe. Na pierwszy rzut poszła Świerzawa i znany z bardzo ciekawych malowideł kościół św. Jana i św. Katarzyny. Ale to oczywiste, przecież to klasyka. Nie będę zatem rozpisywał się o znanych obiektach jakie zobaczyliśmy. Bo wizyta na zamku Grodziec to także

podstawa wszystkich wycieczek tu przybywających. Chociaż muszę stwierdzić, że akurat na tym zamku, mimo korzystnych zmian uczynionych na przestrzeni kilkunastu ostatnich lat nic się nie zmieniło jeśli chodzi o wszechobecne błoto na dziedzińcu. Wcale niełatwo jest dotrzeć do kasy. Przydałby się w końcu jakiś chodniczek ułożony wzdłuż murów. Dlatego też ciekawszym było zwiedzenie leżącego u podnóża wzniesienia kościółka p.w. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Grodźcu. Obiekt ten uważany za kościół górski to niewielka świątynia, ze względu na biały tynk i jej usytuowanie, pięknie wyglądająca z pewnej odległości. Jej pierwotny wygląd zmienił się pod koniec XVIII wieku kiedy to dobudowano kaplicę rodziny Schellendorf. Zwieńczona dachem z latarnią przyozdobioną wewnątrz malowidłami do dnia dzisiejszego kryje płyty nagrobne pochowanych tutaj osób. Od nawy kościelnej odgródzona jest kutą kratą. Pierwszym pochowanym w tej kaplicy był Johann Carl von Schellendorf. Drugim ciekawym elementem świątyni jest wieża z umieszczonym na niej dzwonem. Dzisiaj schody prowadzące nań uginają się niebezpiecznie pod ciężarem wchodzących więc lepiej darować sobie wejście na górę. Ciekawość jednak często zwycięża ze zdrowym rozsądkiem i dzięki temu mogliśmy obejrzeć dzwon oraz spróbować odczytać umieszczony na nim napis.



Foto: Krzysztof Tęcza

Po tak niezwykłych przeżyciach prawdziwym ukojeniem nadwyrężonych nerwów niezwykle pięknym dla oka był widok kwitnących wszędzie przebiśniegów. Pozostało udać się dalej. A przed nami było miejsce niezwykle. Odkryliśmy je zupełnie niedawno. To prywatne Muzeum Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego w Uniejowicach, prowadzone przez pana Michała Sabadacha, majora w stanie spoczynku. Pan Michał odkupił od wyjeżdżających z Polski Rosjan olbrzymie zbiory związane z Armią Radziecką (oczywiście nie wszystkie) i stworzył w swoim gospodarstwie muzeum. Zajmuje ono sporą część zabudowań, a i w ogrodzie znajduje się wiele pomników, w tym przedstawiający pułkownika Karola Świerczewskiego czy marszałka Konstantego Rokossowskiego. Oba stoją na Placu Krajowej Rady Narodowej o czym zaświadcza umocowana na budynku stosowna tablica. Pan Michał jest człowiekiem o wielu talentach. Znajdują się tutaj jego rzeźby oraz obrazy. Pomieszczenia mieszkalne to również jedno wielkie muzeum. Umieszczone są tu pamiątki rodzinne, obrazy, poroża i inne ciekawe zbiory. Można także zobaczyć zdjęcia wielu znanych osób, które odwiedziły to niezwykle miejsce. Życie Michała Sabadacha nie było usłane różami. Świadczy o tym choćby fakt przyznania mu przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyża Zesłańców Sybiru. Ciekawostką jest zauważenie

prowadzonego w Uniejowicach Muzeum przez Rosjan. Miejsce to odwiedził wnuk marszałka Rokossowskiego, który przywiózł medal nadany przez prezydenta Putina. Mimo, iż może to się wydawać niektórym dziwne, miejsce to wpisuje się na stałe w krajobraz, a co jakiś czas przyjeżdżają tu ekipy filmowe kręcące różne produkcje by skorzystać czy to z miejsca czy po prostu wypożyczyć rekwizyty potrzebne do ukończenia zdjęć.

Jeśli ktoś jest spragniony nieco mniejszych wrażeń to warto zajrzeć do Twardocic gdzie znajdują się ruiny kościoła, bo akurat ten obiekt, nawet w tak tragicznym stanie poruszy naszą wyobraźnię. Dawniej miejscowość ta uchodziła za stolicę schwenckfeldyzmu. To właśnie tutaj osiadł w roku 1554 Caspar Schwenckfeld głosząc swoje nauki.

Podobnie odbudowywany kościół w Sobocie. Mimo, iż jeszcze nieskończony już wywołuje u nas podziw dla ogromu pracy jaki tu włożono.



Foto: Krzysztof Tęcza

Najważniejszym jednak dla nas tym razem miejscem był Młyn Wielisław, wyremontowany i przerobiony na przytulne miejsce do spania przez kolejnych pasjonatów. Ludzie ci zostawili wygodne życie w Wielkopolsce i poświęcili wszystkie siły na przywrócenie zakupionego w roku 2009 młyna do życia. Pierwsze co zrobili to uruchomili elektrownię wodną, która dostarcza niezbędnego prądu. Drugie to przerobili stary zniszczony młyn na wygodny pensjonat, nie pozbawiając obiektu zabytkowych elementów. Zostały one wkomponowane w pomieszczenia jako nietypowa ozdoba. Dzięki temu mamy tutaj swoiste muzeum techniki. Można zatem nawet w czasie niepogody ciekawie spędzić czas, zwłaszcza że przed północą pojawiają się mieszkające tutaj duchy. Nie trzeba ich się jednak obawiać. Poza mało szkodliwymi psikusami są one zupełnie niegroźne. Ba, zaproszone przez nas na poczęstunek, z podziwem patrzyły jak szykujemy jajecznicę z kopy jaj i kilku kilogramów wędlin i kiełbas. Oczywiście, ze zrozumiałych względów nie skusiły się na skosztowanie tego wyjątkowego posiłku.

Krzysztof Tęcza